

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.

Rej z Nagłowic.

ROK 1845.

Poznań, dnia 13. Października.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Dotychczas o rozprzężeniu się wszelkich zasad moralnych społeczeństwa, ludzkości, czytaliśmy po większej części w pismach i książkach zagranicznych, wierzyliśmy temu, aleśmy sądzili, że to jest daleko od nas. Tymczasem postrzegliśmy, że to złe nie tylko się zbliża, ale w pośród nas już stoi. Że stoi wątpić nie można, bośmy się w jednym piśmie poznańskim doczytali, że miłość ojczyzny wyczerpuje uczucia niebu się należące i na przymiotnik małpia zasługiwać może. Uciemienzeni w naszych czynach, słowach i myślach przywiezywaliśmy jakąś wartość do opinii publicznej, ale inny znowu autor mający dowcip, naukę i pewną biegłość w życiu, dowodzi nam, że opinia publiczna jest czystym urojeniem, szaleństwem. Mieliśmy wiele zaufania do filozofii, ale słyszymy głosy, że ona jest nauką tylko z krytycyzmu wypływającą i zupełnie destrukcyjną dla ducha, dla społeczności narodowych, dla całej ludzkości. Została nam religia przodków, ale pomijając to, że są tacy, którzy się na sekty rozbijają, pomijając że są tacy w sąsiednich krajach, którzy ją całkiem obalają, występują znowu jej obrońcy, którzy nam jakieś drobiazgowo cuda ogłaszają, jezuityzm który bardzo późno w kościele katolickim powstał i bez którego kościół przecież bardzo był katolickim — za coś nieoddzielnego od kościoła katolickiego ogłaszają. I cóż my niestojący na wysokości ani niemieckiej filozofii ani teologicznych badań mamy począć? Jakimże tu pisarzom wierzyć, kiedy co się w rękę weźmie, trzeba mieć ciągle w podejrzeniu, że od jakiegoś stronnictwa pochodzi, któremu namiętność niezawsze daje prawdy dojrzeć.

Rok szósty.

Wiercie, wiercie wołają, ale wołają ze wszystkich stron i każdy co innego zupełnie przeciwnego, jak wszyscy przynosi. Mieliśmy dawniej pisarzy, którzy że w naszej literaturze pewne zjednali sobie stanowisko, byli jakąś powagą, szliśmy za ich zdaniem, ale dzisiaj czytamy, że to ludzie miały, nadeńci, a częstokroć, że knują złe zamiary.

Wszystko więc zakłócone, zamięszane, podkopane. Z tych różnorodnych sprzecznych ze sobą pierwiastków, co służą jako oś, w koło której obraca się duch ludzki i życie człowieka cywilizowanego, musi jeden pierwiastek wiaść przewagę, albo runą wszystkie i pokaże się coś nowego. My tymczasem co nieumiemy tak wielkich zgłębiać rzeczy, jakim jest tak ogólny pierwiastek, pozostajmy przy tem tylko, co nam nasze sumienie za dobre pokazuje. Gdzie przychodzi spór wewnętrzny w człowieku pomiędzy rozumem a uczuciem, pomiędzy głową a sercem, tam idźmy raczej za sercem; bo kiedy dziś rozum najrozumiejszych ludzi największe sprzeczności stawia nam obok siebie jako prawdy wiekuiste, więc oczywiście rozum bez uczucia w błąd wpadać może. Rozum szuka dziś mocnego stanowiska jakie miał niegdyś, a jak je napowrót odzyska, w tedy dopiero przywracajmy mu władzę którą mieć powinien. Ludzie więc co są przewodnikami drugich, co się rozumem zatrudniają, niechże się nim zajmują, niech go oglądają i zgłębiają, dopóki nam go w czerstwości niestawiają.

Rozumu niemożemy obalać, zapierać mu przymiotów władzy, bo nawet ci co przeciw niemu najbardziej biją, powiadają, że jest darem nieba naj-

wyższym, piętnem co człowieka różni od zwierząt. Jak więc rozum uznajemy tak mamy przekonanie, że się dziś w bardzo rozprzestrzenionym lesie nowych stosunków i umiejętności zabłąkał, ale niewątpimy, że z niego wyjdzie. Dla tego nieobawiamy się, aby kto dla téj krótkiej uwagi mógł nam apathją względem całego świata zarzucać, owszem sądzimy, że to każdy uzna za przestrożę praktyczną dla tych tylko, co nieumieją rozsądzać toczącej dziś się sprawy pomiędzy mistrzami narodów i ludzkości.

Poświęcenie się.

Przez L. S.

(Ciąg dalszy.)

Po dwóch dniach drogi przybyliśmy do domu pana Gasztolda. Helena rumiana jak różyczka, wesolutka i pusta więcej niż kiedy, z serdeczną czułością powitała swego narzeczonego. Krótki ten rozdział widocznie rozproszył te chmurki, jakie dawniej aczkolwiek przełotnie, pokazywały się na niebie kochanków.

— Przynajmniejżeś szczęśliwy! rzekłem do Janusza, spotykając go na dziedzińcu powracającego z przechadzki.

— Niemów tego — odrzekł z westchnieniem ściskając mi ramię — jeszcze tydzień nieupłynął...

— Szalony z ciebie człowiek! zawołałem marszcząc czoło.

Owoż po téj rozmowie weszliśmy na taras, gdzie mnóstwo stało doniczek z kwiatami i drzew pomarańczowych. Zastaliśmy tam Helenę opartą o galeryję; z uśmiechem wybiegła na nasze spotkanie.

— Przyjmij rycerzu! — zawołała dygając i miłując się — przyjmij ten wieniec ręką moją uwity.

I podała Januszowi wianek z bławatków, który właśnie co ukończyła splatać. — Janusz wyciągnął do mnie rękę; czułem że zadrzał i zachwiał się. Przyznając otwarcie, że ta zaczynająca sprawdzać się przepowiednia jasnowidzącej ledwo mię z nóg niezwaliała.

— Cóż to znaczy panie Januszu? zapytała, Helena śmiejąc się do rozpuku, czy tak pan przyjmujesz moje ofiary? Więc gardzisz tym skromnym wianeczkiem?

Janusz przyskoczył ku niej, odebrał wianek, i mimowolnie padając na ziemię ręce Heleny okrywał pocałunkami.

— Dla Boga! wołała wyrывая się... dosyć tego panie Januszu; opamiętaj się, już dosyć! — Pomieszanie jęj było widoczne. — Co się panu zrobiło? pan płaczesz! Dla Boga! co te łzy znaczą?...

Janusz chciał się usprawiedliwić; ale wyjął tylko kilka słów przerywanych i bez związku. Widziałem niebezpieczeństwo i musiałem wdać się koniecznie, aby przerwać tę scenę, której końca obawiałem się. Janusz wyszedł rozrzewniony, a ja sam zostałem z Heleną.

— To coś dziwnego! rzekła po chwili milczenia, jak pan to sobie tłumaczysz?

— Bardzo po prostu — odpowiedziałem, nie bez pomieszania. — Zadek z rąk pani tyle go wzruszył, tak mocno uczuł... wszystko dowodzi, że panią kocha szalenie.

— Wierzę że mię kocha, nawet pewną tego jestem... lecz... ten szal romansowy przed chwilą?... tego nieumiem sobie wytłumaczyć.

Z mojej strony niechciałem bynajmniej pomagać jęj do odgadnięcia przyczyny, gdyż i sam czułem się rozstrojonym i pomieszanym. Zresztą i ona zapomniiała o tém co zaszło; a biorąc rozczulenie Janusza za nowy dowód przywiązania, tém większą okazywała wesołość. W ten sposób upłynęło nam dni kilka.

Bodaj nie trzeciego lub czwartego dnia po naszym powrocie z Wilna, siedzieliśmy wieczorem na tarasie. Helena była więcej milcząca, niż zwykle. Postrzegłem tę zmianę i czyniłem jęj wymówki.

— Nie moja w tém wina — odrzekła — cierpię niezmierny ból głowy; i nawet mam cokolwiek dreszczy.

Janusz z żywością poskoczył ku nam.

— Pani jesteś chorą? zapytał zmienionym głosem.

— Nic mi nie jest — odrzekła — cokolwiek dokuczka migrena, zanadto śmieliśmy się i pustowali dziś rano.

Wcześniej przed wszystkimi Helena udała się na spoczynek. — Nazajutrz niebyło jęj na śniadaniu; kazała powiedzieć, że jest niezdrową. Dopiero ku wieczorowi pokazała się nam w negliżu. W rzeczy samej znalazłem ją dość zmienioną. Była błąda, małowówna narzekająca na kłócie w piersiach.

Janusz odchodził prawie od zmysłów; ja sam zacząłem okropnie się niepokoić. — Następnego dnia Helena całkiem niewstała z łóżka. Najokropniejsze myśli przychodziły mi do głowy.

Janusz skoro się tylko dowiedział o pogorszonym stanie jęj zdrowia, znikł jak kamfora i nikt nieumiał powiedzieć gdzie się podział.

Ósmego dnia (zawsze rachując od wyjazdu z Wilna) wszedł do mnie Janusz, alem go z razu niepoznał tak był zmieniony.

Zadrzałem i lzy mi w oczach stanęły na widok tych ócz obłąkanych, zapadłych i siniej bledości oblicza,

— Widziałeś ją dzisiaj? zapytał mię stłumionym głosem.

— Niewidziałem.

— Więc stan jej niepolepsza się!!

Załamał ręce z rozpaczą i upadł na krzesło. Udałem się do pokojów Heleny i pytałem się czy ją widzieć można. Stara jej piastunka po małych trudnościach udzieliła mi pozwolenia, więc wszedłem. Na wstępie uderzył mię gwałtowny postęp choroby w jej rysach; w tak krótkim czasie zdawało się, że zupełnie z ciała spadła, że wszystka krew z żył uciekła. O ile słabe światło przepuszczone przez zielone firanki pozwalało, mogłem przypatrzeć się jej oczom, które ożywiały nadzwyczajny połysk, pochodzący zwykle z wielkiej gorączki. Zadrzałem na widok tych symptomatów opisanych tak dokładnie przez lekarzy i wierzyłem w duchu, że przepowiednia jasnowidzącej spełnić się musi, co więcej w wyobraźni mojej ożył ów jęk szamocącej się dziewczyny i jej krzyk złowrózby: oderwicie mi tego trupa!... Mimo całej siły moralnej opuściłem ręce; pot zimny oblał mi czoło; coś zagadałem do niej; dała odpowiedź niezrozumiałą i cichą; nie miałem odwagi być dłużej... i wybiegłem prawie bez żadnej dla niej nadziei.

— Dla Boga! jakież to rodzaj choroby? Co na to powiada lekarz? — Zapytałem piastunki.

Staruszka wzruszyła ramionami.

— Zwyczajnie nieroztropność młodego wieku — odpowiedziała z westchnieniem. Trudno co mówić i perswadować; nasza panienska nigdy niewierzy, że to lub owo może zaszkodzić.

Niewypadało mi zapuszczać się w głębsze badanie, więc odszedłem ale z rozpaczą w duszy. Dopiero wieczorem zobaczyłem Janusza. Gdy wchodził do mego pokoju byłem pewny, że nie człowiek ale mara jaka się zbliża. Znekana twarz, obłędne oczy zdradzały stan jego wewnętrzny; na dobre lękałem się by zmysłów nie stracił, i wszelkimi sposobami usiłowałem wpoić w niego ufność w Opatrzność i w sztukę lekarską, chociaż rzeczywiście sam niewiele miałem nadziei. Słowa pociechy obojętnie puszczał mimo uszu, nieruchome ostupiałe spojrzenie wlepił przed siebie i tylko niekiedy drganie konwulsyjne przebiegało po wszystkich jego członkach. W końcu przerwał mi nagle mój obrok duchowny.

— Teraz nielekam się niczego! rzekł grobowym głosem i z uśmiechem trudnym do opisania.

Spojrzałem nań z zadziwieniem.

— Nielekam się niczego! powtórzył jeszcze ponurzej.

— Jakto? zapytałem.

— Mam lekarstwo które ją ocali.

Postrzegłszy zaś moje niedowierzenie, dodał:

— Widziałem się z nim... i mówiłem w tój mierze.

— Z kim się widziałeś? — przerwałem skwapliwie czy z tym szarlatanem? Cóż ci mądrego powiedział? niechby go jasne pioruny!...

— Dał mi lekarstwo które ją ocali! powtórzył z obłąkaniem. Oto je mam i wyjął z kieszeni małą flaszeczkę pełną jakiejś czarnej i gęstej mixtury.

— Człowiecze! daj pokój temu — krzyknąłem chcąc mu ją z rąk wydrzeć. Co za szaleństwo! Kto tam wie co ten szarlatan namieszał...?

— Ale ja wiem... to trucizna!

— Trucizna?...

Struchlałem.

— Mój bracie! mój Januszu, opamiętaj się, usłuchaj zdrowego rozsądku...

— Jest to trucizna najczystsza trucizna, mówił tonem ponurym i wzruszonym... ale nie dla mój, tylko dla mnie!

Tém powiedzeniem zamknął mi usta, bo niewiedziałem sam czy nieszczęśliwy mój przyjaciel nie stracił do reszty rozumu; dla tego starałem się czytać w jego twarzy, na której malowała się głęboka rozpacz.

— Widziałem go... ciągnął dalej głosem przerywanym; widziałem go i mówiłem z nim... pytaliśmy wyroków teraźniejszości i przyszłości. Dziewczynka czytała w jej łonie... odgadła przyczynę choroby i lekarstwo na nią. Lekarstwem jest ta trucizna, zażyję ją, dla mnie śmierć, dla niej życie.

— Piekielne szaleństwo! śmieszność nieprzebaczona! zawołałem. Jakżeż można niewzbronić przystępu podobnym bredniom? Januszu! zaklinam cię pomyśl co robisz?

— Słuchaj rzekł na to, ściskając mi rękę. Wątpić, o wszystkiem wątpić, oto przymiot twego rozumu. Ty co wszystko tłómaczysz rozsądny człowiecze, bądź łaskaw wytłumacz mi jakim sposobem ten szarlatan, jak go nazywasz, odgadł list który otrzymałem w 24 godzin później? Wytłumacz ten wianek z bławatków dany mi w dniu zapowiedzianym? Wytłumacz dla czego Helena umiera! wytłumacz to wszystko... a potem mi dowiedziesz, że niepodobna abym jej życie ocalił...

— Przyznam się panom, zem na tyle argumentów języka zapomniał. Rozsądek mój aczkolwiek się oburzał na ten zbieg zdarzeń nadprzyrodzonych, niepodsunął mi ani jednego gruntownego dowodu na zabicie onych. Zresztą Janusz nie zostawił mi czasu do namysłu.

— Co ma się stać, niech się stanie, mówić z wrzastającym szaleństwem; jeżeli jutro przededniem ta śmiertelna trucizna nieprzejdzie przez moje usta... Helena umrze... a ja żyć będę!.. Lecz nie! Helena niech żyje... Helena żyć musi...

To rzekłszy rzucił się na krzesło i twarz zakrył rękoma.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Powiatki i opowiadania żołnierskie z wojen od 1799. do 1812. r.

(Dokończenie.)

— Juanito! Juanitto! — okropny, straszny tuż przy nim wykrzyk rozległ się: dziewica opuściła ramię kochanka, zachwiała się, zadrzała i upadła, na wilgotny marmur posadzki.

Jéj białą, ślubną sukienkę broczyła krew, oko przymknęło się, nieżyła.

Cios rozrył serce.

Pułkownik w szaleństwie, rozpaczy i gniewie szablę wy dobył, gdy oko w oko, z nagim sztyletem krwią świeżą zbroczonym zaszło mu drogę dzieciece starzec.

— Giń przeklęty — wrzasnęło — giń i ty...

Żelce silnie, gwałtownie, w pierś bohatera uderzy, ale szczęsnym trafem napotka srebrną kłamię rycerskiego pasa, osunie się po nim, i tylko z lekka zadraśnie bok lewy.

Całe okropne zdarzenie jednej minuty nie zajęło czasu.

— Śmierć, śmierć Francuzom, śmierć heretykom — rozległa się wrzawa po całej świątyni, rozleciała się po jéj kaplicach, olbrzymim rozmiarze...

Tłum pchnął się nawałą, przełamał sznurek żołnierzy.

Od strony ulicy, także szczęk mieczy, rozgłos pistoletowych i karabinowych wystrzałów, jęki, przekleństwa, dzikie zgrozy i zemsty, wykrzyki, echo przynosi.

Straszny był to dzień.

* * *

Tego jeszcze wieczora do pałacu Guewrów na Toledońskiej ulicy wszedł jakiś Hispan, krew broczyła jego mantę, kaftan, dłoń, obuwie nawet.

— Donna Nievetta jest? — Kamerary pytał.

— Tak Sennor, jest razem z bratem, w sali rycerskiej.

Hiszpanka przyjęła wchodzącego ponurem, poważnym milczeniem.

— Donna! Francuzi wypędzeni z Sewilli, trzy części ich pułku zginęło, Hrabia di Santa Fé poległ z méj ręki, oto dowód.

Szpadę Granda i komandorski krzyż Karola trzeciego, złożył w ręce Maurki.

— Dziękuję ci Manuello — odszepnęła ona, a wstążkę i szpadę poniosła na drugi koniec sali, gdzie pod wizerunkiem zbrojnego jakiegoś Maura, poważnych licy i dumnego czoła, czarnym aksamitnym pokryte całunem, spoczywały zwłoki czy ciało czyjeś.

— Ten łup miły mu będzie — wyrzekła.

Don Manuello zbliżył się do Maurki, kolano zgiął i mówił:

— Don Juseppo d'Omejra, Juan di Celli Ambrosio, i Saluzzio Pamfilio di Caravieja, wszyscy walcząc za dobrą sprawę poległi; ja tylko jeden zostałem, chociaż Bóg widział, wcale nie szczędziłem życia, w bitwie ostatni nie byłem.

— Tak, wiem o tem, Don Manuello, wiem żeś pierwszy dał hasło bitwy, żeś zaczął ją pierwszy i ostatni zakończył, wiem i to, żeś ty jeden tylko zuchwałemu wrogów przywódcy, śmiało stawił czoło: lecz patrz, spojrzij...

Odsunęła nieco axamit całunu — pod nim leżały zwłoki martwe, zimne od dawna, całe zbluzgane krwią, a trzykrotnie szablą rozdartym czerepie, zmiecone, poszarpane, rozdarto, niby gwałtownym podeptaniem nogi zgniecione...

— Czy wiesz Menuellu kto zabił? ostatniego z Guewrów, mojego brata kto zabił?

— Francuzki Pułkownik, wiem.

— A on żyje powiadasz?

— Tak żyje.

— I ty chcesz Sennor bym ci rękę oddała, gdy mój brat niepomszczony? chcesz abym stroiła się w białą sukienkę, świeżem kwieciem ozdobiła czoło?

— Tak, masz słusność Nievetto! Na matkę Bożą naszą Sewilską masz słusność; lecz ty musisz być moją żoną, zginę albo się pomszczę.

— Szybkiem krokiem opuścił komnatę.

Hiszpanka obojętnie porzuciła czarną zasłonę na martwe zwłoki brata, głucho westchnęła, zadzwoniła potem i wchodzącej kamerze wyrzekła:

— Przywołaj Patra Dom Jakoba.

— Pater — mówiła temu — ostatni z Guewrów poległ śmiercią męczennika, rycerza; pogrzeb jego musi być równie świetny jutro, jak dziś był ślub Hrabianki di Santa Fé.

— Sto mszy zakupię.

— Sto! dla mego brata? Pater, dla ostatniego z rodu, którego dziełem Giralda, którego dziejami dzieje Sewilli, dla ofiary naszych praw i świętości, sto tysięcy małą.

— Lecz to koszt Donna?

— Co koszt! Ville San Lucar i Pueblo Castello del Guevra, wszakże sam na milion realów cenileś, oddam je klasztorowi waszemu, lecz mszy i nabożeństwa nad grobem Don Alfonsa tyle niech będzie, ile jeszcze nad nikim niebyło.

Bure Patra żrenice chytrą radością zabłyśły:— Twoja ofiara równie miłą niebu będzie, jak jest niezwykłą i wielką. Moi towarzysze wypełnią twę wolę Sennora, a ja—uśmiechnął się groźnie—ja z mojej strony, inny dawnemu mojemu penitentowi i wychowańcowi przyniosę więzaniek: w dzisiejszej walce pięćdziesiąt jeńców wpadło w nasze ręce, Junta chce ich zachować na zamianę lub wykup; lecz niech zginą wszyscy do jednego na mogile Alfonsa di Guevra!

— Dobrze umiesz się mścić Pater; lecz jeszcze prosba jedna dla mnie w Convento Santa Cruce przegotuj cele.

— Celę w klasztorze? chcesz być zakonnica Sennora?

— Będę nią, jeżeli Don Manuello di Cavallero moim mężem niebędzie.

— Wszakże go kochasz Sennoro?

— Tak wiesz przecie o tem.

— I on cię kocha, czemuż mu ręki nieoddasz?

Dzisiejsze zwycięstwo jemu winniśmy najwięcej. Junta chce go ogłosić naczelnym wodzem swoich sił.

— Moją rękę Pater, tylko ceną krwi mordercy mego brata można odkupić, Don Manuello wie o tem.

— I zgodził się?

— Tak, przysiągł pomstę.

— Lecz gdyby zginął, los wojny zmienny.

— Powiedziałam ci już, będę zakonnica w tedy, lecz wprzód...

— Cóż wprzód?

— Pomszczę obydwóch...

* * *

W dwa lata później, armia francuzka przypuściła główny szturm do znanej z bohaterskiej swojej obrony Saragossy, pułk jazdy polskiej Pułkownika C*—zajął jedno z przedmieść miasta, rozciągające się na parę staj obok traktu wiodącego do Madrytu.

Pomimo zajęcia téj części miasta, walka nieustawała jednakże, każdy dom dla rozpacznych Hiszpanów był fortecą, z wszystkich drzwi i okien bluzgała śmierć, gromami wystrzałów.

Półkownik z swoim oddziałem, wsparty dwoma batalionami piechoty i kilku armatami po kolei zdobywać je musiał, aż doszedł do jednego, znajdującego się tuż przy bramie fortecy—szczególniejszy i zaciętszy od wszystkich stawiał on opór: dwie godziny czasu ubiegło zanim można było, potłukwszy armatniami wystrzałami grube mury, zrujnowawszy dach, do jednego prawie wystrzelawszy zaciętych obrońców, zająć ów dom.

Wiedziony ciekawością a może tajemnem jakimś przecuciem, mimo odradzeń swych podkomendnych, Pułkownik wszedł w świeżą rudę.

Wszędzie, w każdej izbie, była krew i zniszczenie — trupy dzieci, starców, kobiet, żołnierzy i mnichów, wszyscy zginęli z bronią w ręku: a ta broń niekoniecznie był szabla lub karabin, lecz nóż, wiadro wrzącej wody, lanca niezgrabnie ukuta, widły rolnicze, drzewce kościelnej chorągwi.

Lecz nie same tylko trupy napotkał, byli między niemi i żyjący, pokaleczeni cali, krwią zbluzgani—dogorywali w cierpieniach bez nazwy, w męczarniach bez granic.

Tak obiegał komnaty, i choć śmierć w różnych kształtach była wokół niego, choć wykrzyki cierpienia i bolu napastywały bezustannie ucho, w oku niebłysła łza, czoło było spokojne, pogodne—niby ów mord, owe zniszczenie miłe było duszy, pocieszało pamięć, zemście strasznej nigdy nieprzepomnianej, luby żer niosło...

A ten spokój lic Pułkownika nieuszędł bacności żołnierzy, gotowych do walki, gdyby się ona miała zawiązać, szli za nim.

Jeden drugiemu poszepnął:

— Patrz, ót nasz Pan Pułkownik to chwata: ja przecież człowiek nie z gliny, nie z wody, lat dwadzieścia służę wojskowo, a na widok tych biedaków pobitych, co zaś najwięcej konających, wzdrzgam się cały: on ani oka niezmruży, ani czoła nie zmarszczy; dalipan, że jego serce jak przystoi na żołnierza z twardego kamienia być musi!

— Bah! albowż mu to po raz pierwszy krew i podobny mord widzieć — odparł drugi: — gorzej było w Sewilli, a témci gorzej, że tam nie Hiszpanów ale naszych tyle trupem leżało! Ci Hiszpani to diabli wcieleni, napadli nas zdradziecko, właśnie, był to dzień ślubu Pana Pułkownika...

Umilkł, bo z trwogą ujrzał jak Pułkownik pobladł, zadrżał—spojrzał więc, oko przetań—poznał przyczynę.

W kącie izby, nad trupem poranionym okropnie, zbroczonym krwią, jęczała jakaś Hiszpanka: włos jęj

w nieładzie, strój czarny, poszarpany, podarty, w oku lży ale i dziki żar, zemsty, rozpaczy.

— Ta Hiszpanka—Pułkownik ją poznał, i wzdrzgnął cały, jak to wspomniałem, była zaś...

Lecz dość na tem, to już inna powiastka, kiedy indziej gdy zechcecie przeczytacie ją, kiedy indziej dam ją wam...

Winienem tylko wspomnieć że wiarus koledze poszepnął:

— Widziałem tę Sennorę w Sewilli, jej brat kochał się podobno w narzeczonej Pana pułkownika i zabił ją... stara to nasza znajomość.

* * *

Ze scen wojennych podajemy obraz obozu pod Białą w odwrocie wielkiej armii z pod Moskwy.

„Wieczorem dnia 12 grudnia 1812 roku, Armia francuzka z nieszczęśliwej rossyjski wracająca wyprawy, zajęła wieś Białą niedaleko od miasta Jarosławia położoną.

Ale złem się wyraził, nie była to już armia, lecz jakaś ogromna banda ludzi, zwalczonych głodem i zimnem, utrudzonych pochodem, którego niebezpieczeństw i okropni, niesposób wyrazić słowem.

A może i ludźmi nieprzystało już nieszczęsnych nazywać. Była to gromada istot bez nazwy i cechy, istot bez serca, ducha i woli, skołatanych nieszczęściem, piętnem nieochybniej naznaczonych zguby, istot samolubnych, dzikich, występnych, nie chęcią lub rozkazem czym bądź, lecz musiem bezpieczeństwa własnego i długim nazwyczajaniem połączonych, i skojarzonych jeszcze ze sobą.

Przynajmniej to com powiedział do większości nieszczęsnych, można zastósować było: dziesiąta za ledwie część, stanowiła jaki taki wyjątek.

A gdy owe mrowie rozsypało się na obszernych wspomnianej wioski równinach jak tylko okiem dośiadał zdołałeś, zaległo je, niby szarańcza owładło, poniosło przestrasz, zniszczenie i trwogę.

Wieś sama była dość obszerną przynajmniej sto osady liczyła, a przecież w mgnieniu oka prawie wszystkie zabudowania gospodarskie, chaty wieśniaków, domy dworskie zniknęły, rozerwano je, rostrącono spalono.

Zeschłe zimną liście i życia pozbawione drzewiny ogrodów i sadów, ten sam los spotkał, nawet plecione płoty, rozgraniczające szczupłe posiadłości rólników, poszły na zniszczenie, na ogień.

Bardzo mało mieszkańców wioski chciało i mogło oczekiwać na przybycie niesforniej gromady, biedni oni byli, bez zapasów na ciężką i długą zimę, zgryzbiiali starcy, lub drobne dzieci, a przecież świę-

tokradzka dłoń, niewahała się wydrzeć im ostatniego kęsa chleba, reszty łachmanów pozbawić.

Lecz wejdźmy w wnętrze tego niszczącego mrowia.

Dziwna, okropna mieszanina ubiorów, języków i gatunków broni uderzyła cię zaraz.

Była tam Europa cała, Europa zbutwiała, nie tylko w ogólnych swoich zarysach, ale w najdrobniejszych odcieniach.

Obok śmiałego południowem słońcem przepalonego, żywego w giestach, o wdzięcznej mowie Neapolitańczyka, szedł chudy, wysoki, białych oczu i lic, i chropowatej mowy Jutlandczyk. Przy flegmatycznym Holendrze z którego pełnej i okrągłej twarzy, głód i cierpienia zetrzeć do szczytu rodzinnego niezdołały rumieńca, zesiadł mieszkaniec z nad Ebro, drobny węgły niby przy olbrzymie karzeł, niby życie przy śnie, zdało się że los złączywszy ich obu, ciekawemu dostrzegacza oku, chciał dać wzorek dzieci ognistego południa i ponurój północy.

Z nad Elbańskim Teutonem, ciężkim, rozważnym, spokojnym, obojętnym na wszystko i wszystkich oprócz siebie, posepnym, milczącym, spieszył nadsekański Francuz, ruchliwy szczebiot, i dowcipniś teraz nawet, choć bolał głód, dokuczliwe zimno trzęsło całym ciałem.

Rodak Nadwiślanin przyjacielsko gaworzył z dawnych Rzymian potomkiem, dzieckiem Abruzów lub Apeninów, Berlineczyk i Westfaleczyk z słowiańskim Raguzaninem lub prowackim Gallem, Biskajczyk z Litwinem.

Mieszanina rodzaju broni i stopni, również była dziwaczną: dawno już karność wojskową i ową machinalną, że się tak wyrażę, jednostajność ruchów i porządek, bież i podziw Europy całej, zaprowadzonej w armij olbrzyma Korsyki, rozstroili i zniweczyły głód, zimno, mus lub przypadek.

Ogólne przystrojenie było tyle dziwaczne, tak dziko rozmaite, że poglądając na nie, śmiech brał mimowolny.

Jakoż wyobraźmy sobie, siwego ogromnego wzrostu wąsiatego żołdaka, w kobiecej salopie przepasanego tyftkowym szalem.

Inny na mróz trzydziestostopniowy obwijał się w płócienny kaftan, do stanu zachodzący ledwie, w letni tużurek lub krótki ceratowy płaszczyk.

Ten straciwszy lub dobrowolnie zrzuciwszy włosatą grenadierską bermycę, ciężki kask lub stósowany kapelusz, pokrył głowę niby zawojem jakim szmatem chustki, łachmanem w którym nadaremnie gatunku lub koloru, starałbyś się dopatrzeć, albo nawet zasadił poduszkę, a że ta przetarła się, to wiatr co chwila unosił z niej kęs pierza lub puchu.

Ow pokrył się grubym kudłatym wołtukiem, ni-
by kobieta drogocenną chustką; ten zarzucił na sie-
bie czaprak jedyny pamiętnik po lubym towarzyszu
nie jednej wyprawy rumaku; inny w baranym kożu-
chu, przykrywszy nim świetny generalski uniform
puszył niby kocietka świeżą modną jedwabną suknią.

Byli i tacy którzy przebrali się w szaty ducho-
wne, ornaty, i kapy, inni w kobiece stroiki, ci ob-
winęli się watomemi kółdami, owi niby dzieci po-
wijaki zatoczyli w okrag ciała całe sztuki płótna lub
sukna.

A to byli szczęśliwsi, nie drżeli od zimna jak
inni.

Chętka śmiechu przecież jeżeli cię naszła, omi-
jała zaraz, dość było jedno rzucić w ów tłum spoj-
rzenie.

Tu wiała się mara, widmo istotne, znękanie gło-
dem i zimnem; tam szkielet, który niepojmowałeś jak
mógł jeszcze siłę rąk i nóg zachować: ten idąc grę-
źnie w śniegu pod pas, szamocze się chwilę aby wy-
dobyć, a niemogąc podołać, utkwiał w nim i tak po-
został, pozostał bo zmarł: ów znękany kilka tygo-
dniowym pochodem, wypocząć chce, siada, zdrzemnął
się, a zdrzemnął snem nieprzebudzonym, śmiercią:
bohater Piramid, Włoch, Niemiec, ów Gwardzista,
który zginąć potrafi, a nie umie poddać się, wypu-
szcza z osłabłych rąk karabin, ręce skośnięte od mro-
zu, niemogły go dłużej piastować, a ten karabin, to-
warzysz jego młodości, towarzysz dojrzałego wie-
ku, jak go ujął, aby Generałowi Buonopartemu, dać
zwycięstwo, uszczknąć laury pod Mondowe, Marengo
Mantua, tak służył Buonopartemu Konsulowi, i słu-
żył Cesarzowi Napoleonowi pierwszemu pod Auster-
litz, Jena, Ulmem i Wagram; płakał rzewnemi łzami
stary żołnierz, przeklinał ciężki los swój; porzucił
broń tylu lat pamiętkę, tylu lat cacko, kochankę, nie-
byłóż rozodrzyć z całą przeszłością, a w przyszłości
niewidzieć nic, jak sromotę, hańbę....

Owdzie za działem swoim postępował Artylerzy-
sta: czem dla Gwardjaka karabin, tem dla niego owa
armata, z nięj niósł postrach i śmierć w bitwach
trzydziestu, z nięj niedawno dwa lata dopiero, wi-
watowemi radosnemi grzmiał wivatami, kiedy potę-
ga Cesarza i przyszłość Francyj, ustaloną być się zda-
wała urodzinami księżęcia, którego kolebka już kró-
lewską koroną ozdobioną była: a teraz konie działa
ciągnące ustały na siłach, z trudem tylko przez za-
spy śniegów przetłoczyć się mogły, jeden i drugi
upadł, dwa tylko zostały, niesposób ciągnąć im dalej,
dowódzca rozkazuje odprządz, do innego przyczepić,
biedny żołnierz ociera łzę wijącą w oku: ja cie

nie porzucę, szepce do siebie, osłabłemi ramionami
zimną broń obejmuje, siada przy nim, tuli się w nę-
dzne odzienie i tak ginie, bo mróz przejął ciało,
skośnił go, bo rozpacz resztę sił rozprzegła; szczę-
śliwy przecież, zginął bez sromu, nie widział ukocha-
nej broni w ręku wroga.

Jak to już rzekłem, obozu okiem nie przejrzysz,
w nim ogniska suchemi szczapami i belką świeżo ro-
zebranych domów buchają kłębami płomieni i dymu,
roznoszą nieco ciepła na okół, tuli się, popycha tłum
zgiebły i głodny, im kto bliżej tém szczęśliwszy.
Ach to rokosz, którejby nie oddał, nie wiem za ja-
kie skarby, tytuły, cóż dopiero gdy kęs stawy
znajdzie się, a jaka ona! Zraz z niedawno co pa-
dłego konia, suchar przy ogniu z trudem roz-
miękczoney, garść mąki rzucony w miedziany kocioł,
napelniony śniegiem; żar go topi choć z trudem,
żołnierz dosypuje prochu, on sól zastąpi, leje kilka
kropel wódki, co jakimś trafem jeszcze w manierce
została, i ma potrawę, zupełną; co mu inne wykwinne
parzyckiego stołu, niema porównania, delectuje się,
smakuje; szczęśliwiec, nędzne życie na dzień jeden
przedłużył, oszukał głód na dzień jeden.

Ależ nie cała olbrzymia armia już tu zebrana:
szerokim traktem — bo traktem step cały, a granicą
jakie niedostępne mokradła, czachar lub dwie kolumny
armii Platowa i Witgensztejna — sypie się w obozowi-
sko, co raz więcej ludzi; jest to nieprzebrany potok, gro-
źny, niszczący, łoskotliwy; przy ogniskach jeżeli nie
walka wręcz, to przekleństwa, spory i wrzawa. Przy-
bysze dawniej osiadłych chcą miejsca zająć, nie spo-
sób tam, ci bronią się ustąpić choć na cal jeden od
ogniska, wydaje się dla nich cięższą od samej śmierci
ofiara; trzeba więc biednym tułaczom, nowe zakła-
dać ognie: jakoż rzucają się na resztki domów nie-
szczęśliwej wioski, rozrzucają je, podwalają belki,
lub całe zapalają chaty, tak jeszcze cieplej będzie;
mniejsza przekleństwa, lzy nieszczęśliwych mieszkań-
ców, któż na nie daje baczenie? każdy myśli o so-
bie, siebie na względzie i pamięci ma tylko.

W krótkce ni śladu zamożnego sioła, tylko pożar
trzaska, tylko dym gęstym tumanem wznosi się pod
mgliste, chmurne bezgwiezdne niebo: poswarki
ustały, za to wrzawa wzmogła się i dzikie różnoro-
dne wykrzyki, gdzie nie gdzie i piosenka zabrzmi,
piosenka francuzka, bo Francuz tylko jeden mógł nu-
cić wśród owego okropnego zniszczenia, mógł zaba-
czyć o swych dolegliwościach, o głodzie i chłodzie,
rozterce armij, wśród trupów towarzyszy, przyjaciół
i krewnych.

Wiatr świszczy, mróz wzmaga się, tulą się nie-

szczęśliwi silniej do ognisk, już i wrzawa powoli ucichła: gdy na trakcie znowu łoskot, rzenie koni, brzęk szabli, rozhówr żołnierski, jeden i drugi oczy od ognia w owe strony odwróci, popatrzy chwile i obojętnie poszepnie?

— Marszałek Ney z tylną strażą powraca. Ha! zimno i chłodno im być musi, nie zazdroścę.

Ale dodaje zaraz:

— Na szatana, bracia, na ostrożności mieć się potrzeba, oni nas zechcą wyrugować od ognia.

— A toż do szabli, do karabinów, pokażemy im ostrze bagnatów, tu miejsca niema, niech idą gdzie chcą.

— Tak, tak, niech idą gdzie chcą, co nam do nich, mamyż dla nich zmarznąć? — jednomyślnie ozwał się tłum.

Straż tylna jedyna nadzieja armij, naciągnęła w tej chwili, na jej czele sam Ney, waleczny z walecznych jak go Napoleon nazywał, grube futro pokrywa go, stósowany kapelusz przewiązany chustką, na głowie druga chustka pokrywa twarz do oczu prawie, a te oczy błyszczą, pieką, tą samą dumą, tą samą potęgą wzniesłego talentu, w upadku, w nieszczęściu, jak kiedyś u szczytu fortuny pod Wagram, Austerlitz i Jena,

Przywołał Adjutanta: dał rozkaz: Adjutant poniosł go w orszak dzielnych — groźne Vive l'Empereur zabrzmiało, bo ten rozkaz wszystkich po myśli, po sercu, mają z sieść z koni, mają odpocząć, ogrzać się, nabrać sił do jutrzejszych trudów i walki.

Lecz gdzie ogrzać się, gdzie odpocząć, otóż kłopot; miejsca niema przy ogniskach, a na nowe ogniska niema drew.

Marszałek temu zaradził, kazał ująć szable do ręki, uprzętnąć tłum od kilku obszerniejszych płomieni: powstaje znów kłótnia, spór, kłatwy, jeden i drugi wystrzał zabrzmiał, lecz stało się jak chciał Ney, garstka jego waleczników odpoczynek mieć będzie, ogień, ciepło, zasłużyła na nie co mu reszta tłumy, niech ginie lub ratuje się jak może.

Rugowani od ognisk nieszczęśliwi rozchodzą się po obozie grubemi bandami, tułają się gdzie mogą, rozkładają się na śniegu, silniejsi walczą z zgonem, słabsi giną bez pomocy lekarskiej, bez ostatniej pomocy kapłana.

M O D Y.

Paryż, dnia 20. Września 1845.

Jedwab i wełna odgrywają już od wieków najgłówniejszą rolę w ubiorach, tkaniny z nich jednak

corok inaczej wyglądają i tyle tam nowych znajdziesz udoskonaleń, iż wyznać potrzeba, iż są pierwiastkami najpiękniejszymi i najpożyteczniejszymi w toalecie damskiej.

Oprócz zwyczajnych tkanin jedwabnych i wełnianych znajdują się w tym roku bardzo kosztowne tkaniny, pekiny przerabiane, pompadours grosdetoury, orientalne atłasy w sute wzory, we wszystkich kolorach nakształt płaskorzeźby, damasty we wzory aksamitne, chińskie atłasy, alhambry, ulubione alcyony w lśniące kolory i upstrzone w miluchne wzory. Ale i tkaniny na ubiory neglizbowe są zupełnie w nowym rodzaju. Tak widzieliśmy np. tkaniny w kolorze perłowym ze stalistym połączone w paski atlasowe, tkaniny w prążki, w kratki zupełnie nowo wymyślone, kaszemir — grenadyny i t. d.

Pierwsze płaszczkowe szlafroczyki będą czarnymi koronkami orzucone, aż ustąpią później futrom pierwszeństwa.

Także widzimy często szale i długie z czarnych koronek, podszyte lilijową lub zieloną kitajką; tudzież szlafroczyki z ciemno-niebieskiego pekinu z trzema rzędami koronek czarnych, które gładko z przodu ku dołowi są przeszyte i stanik równie jak wyłogi okrywają.

Z nowych sukien wpadły nam szczególnie następujące:

Suknia z mory w atlasowe paski w kolorze stalistym z trzema szerokimi fręzlami z jedwabiu i stali. Stanik wysoko zachodził, z przodu otwarty, z maleńkim szalikowym kołnierzem, który aż do przepaski się słańiał i równie był orzucony fręzlą z jedwabiu i stali. Krótkie u niej rękawy i oszyte dwoma rzędami fręzli. Końce długich rękawów, były ku dołowi powiększone, tak, iż podrękawki z białych koronek z pod nich wyglądały.

Szlafroczyk z szerokimi pasami, z których jeden był lilijowo cieniowany, drugi z czarnego atlasu i nakształt koronki robiony. Stanik u przepaski we fatdy ułożony, rozszerzające się na piersiach w kształt wachlarza, niedochodzące jednak do szyi, aby widać było guimpę orzuconą lekką koronką, opadającą na szlafroczyk. Rodzaj ten stanika wygląda bardzo dziecinnie i zdobi szczególnie piękne szyje. Na powłóce znajdowały się cztery rzędy podwójnych pasków aksamitnych, lijowych z czarnymi razem. Dolny rząd był szerszy od górnego. Podobny wystrój nieco węższy u rękawów, które u dołu szerzej się rozszerzały.

Objaśnienie ryciny.

- 1) Czepeczek koronkowy, zdobny kwiatami. Suknia muslinowa orzuciona sznureczkami.
- 2) Ubiór dziecka.
- 3) Strój głowy. Szlafroczyk oszyty wstążkami atlasowymi.